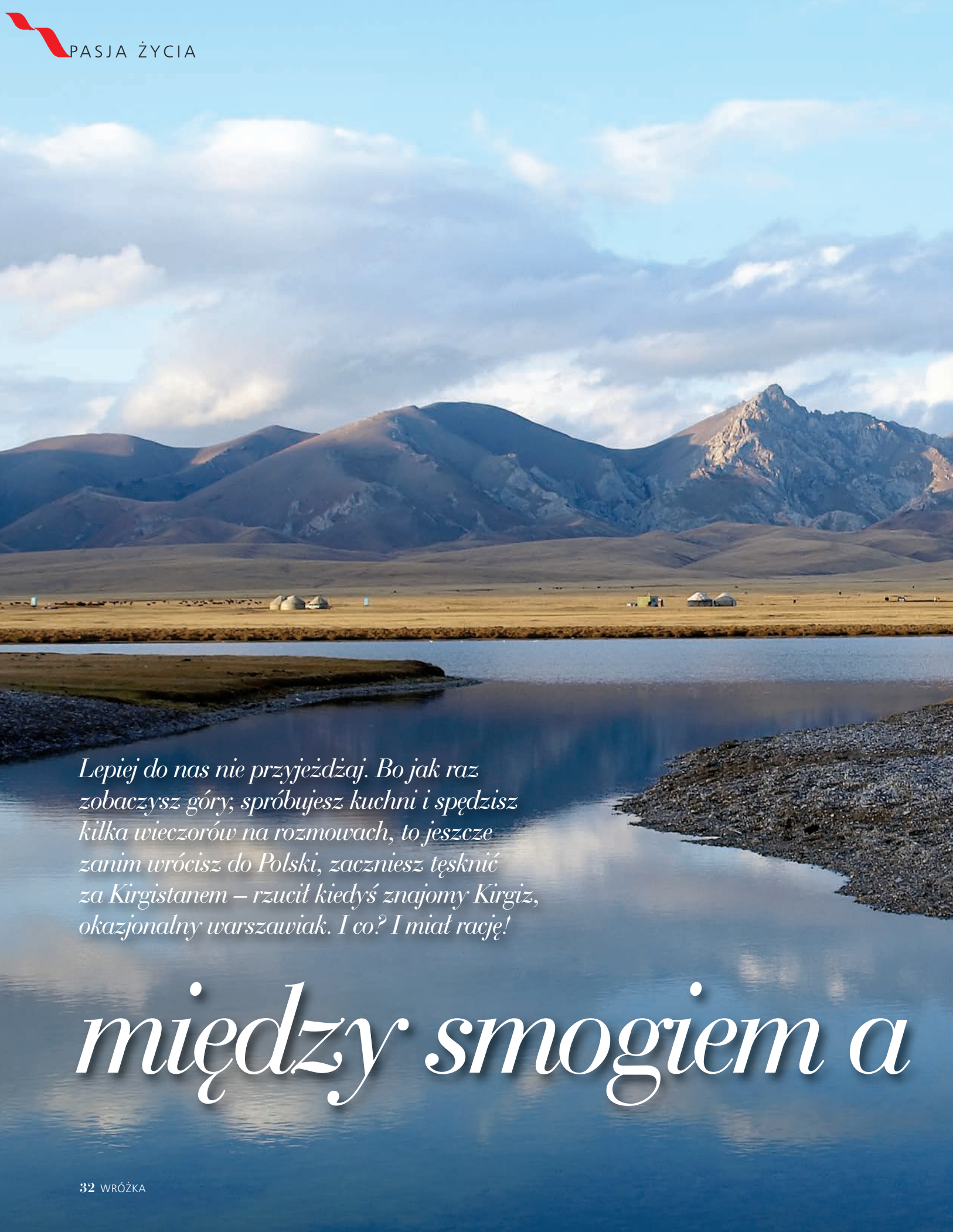




Lepiej do nas nie przyjeżdżaj. Bo jak raz zobaczysz góry, spróbujesz kuchni i spędzisz kilka wieczorów na rozmowach, to jeszcze zanim wrócisz do Polski, zaczniesz tęsknić za Kirgistanem – rzucił kiedyś znajomy Kirgiz, okazjonalny warszawiak. I co? I miał rację!

między smogiem a



niebem

O tym, że Kirgiz schodzi z konia, przebąkiwał już Ryszard Kapuściński. Mistrz reportażu nie pomylił się, co szczególnie widać w centrum Biszkeku w godzinach szczytu. Potomkowie nomadów wolą konie mechaniczne od tych czworonożnych, z którymi żyli za pan brat od wieków. Smugami dymu krztusi się miasto i przemyskający jego główną arterią, aleją Czuj, mieszkańcy.

Nie lepiej jest z architekturą tej milionowej stolicy. Nieustannie pączkujące, chaotycznie rozsiane domki jednorodzinne stale obrastają masą przybudówek, nadbudówek i dobudówek. A obok nich pyszną się znajomo wyglądające szare wieżowce, które niemal wszystkim miastom byłego Związku Radzieckiego sprezentował Leonid Breżniew. Bliżej centrum przytłaczają z kolei krajobraz wylane betonem przepastne place takie jak Ala-Too z monumentalnymi pomnikami i dostojnymi frontonami budynków użyteczności publicznej, wśród których walczy o życie rachityczna zieleń. A wszystko to od czerwca do sierpnia, kiedy temperatura sięga 30-40 stopni Celsjusza, przydusza rozedrgana gorącym czapka upału.

Pewnie dlatego tak wielu Kirgizów latem zamienia betonowe domostwa na jurty i dache w górach.

Zanim i ja zamienię Biszkek na bardziej przyjazne miejsce do życia, siedzę na ławeczce na wspomnianym placu Ala-Too i obserwuję, jak różne narracje historyczne współwystępują na tej niewielkiej przestrzeni. Bo jej centralną część zajmuje słusznej wielkości pomnik Manasa. Manas to świętość. Legendarny bohater sprzed wieków. Pieczołowicie pielęgnowana дума narodowa, której szargać nikomu nie wolno. Epos o Manasie jest dla Kirgizów tym, czym „Iliada” i „Odyseja” dla Greków, „Eneida” dla Rzymian, „Pieśń o Rolandzie” dla Francuzów czy „Mahabharata” dla Hindusów. Liczy sobie, bagatela, 500 tys. rymowanych strof. Nie odstrasza to jednak niektórych obdarzonych dobrą pamięcią Kirgizów od wykucia się go na pamięć, a potem recytowania przez... 4 godziny.

Ja tam nie czekam, aż świetlana przyszłość łaskawie do mnie przyjdzie, tylko sam po nią jeżdżę. Gdzie? Do Rosji. Pracuję pod Moskwą. Sześć miesięcy tam, miesiąc tu, i tak tuda obratna – opowiada 23-letni Rachmat. Za każdym razem, kiedy wraca do domu, słyszy te



■ Autorka reportażu, Ewa Pluta



same słowa rodziców: „W sąsiedztwie jest taka miła i pracowita dziewczyna. Nic nie musisz robić, my wszystkiego dopilnujemy, ty tylko wreszcie się ożeń”. Z tygodnia na tydzień naciski stają się coraz bardziej natarczywe, aż wreszcie chłopak woli dać nogę ze swojego pięciomilionowego kraju. Wraca dopiero wtedy, gdy sprawa przycicha. Temat małżeństwa, a także dzieci, jest w Kirgistanie kluczowy. Turysta musi się przygotować, że po pytaniach: „Jak masz na imię?” i „Skąd jesteś?” następnym będzie: „Muż u ciebie jest?” albo „Żena jest?”. Dobrze, gdy może potwierdzić, bo jeśli nie – trzeba się tłumaczyć. A gdy stan cywilny się zgadza, ale nie ma dzieci, a od ślubu mijają już dwa nieznośne długie lata, należy to jakoś uzasadnić. A już najbardziej przekonująco muszą się tłumaczyć samotne osoby po trzydziestce, zwłaszcza kobiety – bycie singlem to co najmniej wynaturzony ekscentryzm.

W okolicach jeziora Issyk-kul, zaledwie 200 km od Biszkeku, do dziś zdarzają się ala-kachuu – usankcjonowane tradycją porwania młodych dziewcząt, które następnie siłą zmuszane są do małżeństwa. W przeszłości ala-kachuu pozwalało porywaczowi na związek z kobietą bez konieczności uiszczenia jej rodzinie kałmu – wysokiej opłaty. W czasach ZSRR zwyczaj uznawano za przejaw barbarzyństwa. Do kidnapingu wrócono po odzyskaniu niepodległości, kiedy uznano, że ala-kachuu to niezbywalna część kirgiskiej kultury. Proceder kwitnie. Co roku uprowadzanych jest od 11 do 16 tys. kobiet, a porywacze zdają się ignorować fakt, że za „romantyczny zryw” grozi im według prawa do pięciu lat więzienia.

Zważywszy, że góry zajmują 93 proc. powierzchni Kirgistanu, trekking wydaje się dla turysty naturalnym wyborem. Połowa z nich sięga 3000 metrów n.p.m., na trzech czwartych śnieg w wyższych partiach nigdy nie topnieje. Najwyższe szczyty ulokowały się w Tien-szanie, tuż przy granicy z Chinami: Pik Pobiedy (7439 m n.p.m.), Chan Tengri (7010 m n.p.m.), Pik Gorkiego (6050 m n.p.m.). Podróżuję ze znajomymi, żadni z nas himalaści, dlatego wybieramy spokojny trzydniowy trekking nad Ala-kul (3560 m n.p.m.) – w turkusowej wodzie tego jeziora odbijają się szczyty pokryte czapami śniegu.

Trekking w kirgiskich górach zawsze jest przygodą, a to ze względu na nieistniejącą w praktyce infrastrukturę turystyczną. Nie ma tutaj schronisk, co najwyżej wiaty przy bardziej popularnych szlakach, takich jak nasz. Na próżno szukać jakichkolwiek oznaczeń, jedynie w wyższych partiach gór widać kopczyki ułożone z kamieni. Jeśli szlak jest uczęszczany, idziemy po śladach, jeśli nie – bez mapy, kompasu czy GPS-u może być ciężko. Myłące bywają także ścieżki wydeptane przez stada baranów czy krów, które latem pasą się na stokach. Przekonaliśmy się o tym dość boleśnie w drodze powrotnej. Ta pomyłka kosztowała nas dodatkowy dzień spędzony w drodze. Trudy wędrówki

wynagradzają widoki i spotkania. Takie jak to poranne, gdy siedząc przed namiotem, zauważamy, że zaledwie metr od nas w wyczekującej pozie stoi świstak. I łakomie wbija wzrok w kubek z ostatnią porcją kawy.

Gliniany dom, który Wowa od początku do końca zbudował rękami swoimi i najbliższych znajomych, stoi na skraju parku Chong-Kemin w północno-wschodnim Kirgistanie. Stąd, z byle jakiej góry, widać już Kazachstan. Wowa, były bokser, zaprasza do swojej daczki, gdzie, jak nieraz podkreśla, „wszędza świeży wozduch i pieriekasiwaja priroda”. Cieszymy się więc przyrodą, świeżym powietrzem i faktem, że nasi nowi kirgiscy znajomi z rozrzewnieniem wspominają „Czterech pancernych i psa”, niekwestionowany hit całego Sowietckiego Sojuza. Gdy w jak najlepszej komitywie siedzimy pewnego wieczoru przy kuchennym stole, dopiero zaczynamy rozumieć, czym jest Kirgistan. To skomplikowany i różnorodny tygiel kulturowy, który – choć nie bez komplikacji – pomieścił przedstawicieli około 80 narodowości.

Ale po kolei. Po mojej prawej stronie siedzi żona Wowy, Nadia, Rosjanka z krwi i kości. Rosjan w Kirgistanie jest niemało – stanowią ok. 6 proc. społeczeństwa. Po lewej mam Wowę. Z nim łatwo nie jest, bo po pierwsze jest Dunganem, czyli przedstawicielem muzułmańskiej społeczności wywodzącej się z Hui, grupy etnicznej zamieszkującej wschodnie Chiny, a po drugie w jego żyłach płynie również tadżycka krew – po dziadku. Naprzeciwko mnie uśmiecha się Wania, sobowtór Franciszka Pieczki. Jego tubalny głos nijak się ma do nieśmiałej postawy. Rodzice Wani pochodzą z Ukrainy, a do Kirgistanu przywiała ich wojenna zawierucha. Tuż obok niego nad kubkiem herbaty pochyla się Azaibek, rodowity Kirgiz, któremu do ucha coś szepce Azamat, kumpel z Kazachstanu poślubiony z miejscową Kirgizką. Jak to wszystko pogodzić? Nikt nie wie. Natomiast pewne jest, że i Kirgizom, i Rosjanom, i Dunganom, i Ukraińcom, i Kazachom podobają się „Kolorowe jarmarki” Maryli Rodowicz, które nucimy wspólnie, dzierżąc butelki wygazowanego piwa Arpa.

Koczowniczy tryb życia, który przez wieki prowadzili Kirgizi, nie podobał się wierzchuszcze Związku Radzieckiego. Ani ich przypilnować, ani ściągnąć podatek. Sowietci, chcąc ich usidlić, doszli w końcu do absurdu, budując jurty z... betonu. Niech się Kirgiz cieszy, że ma swoją jurętę, a że betonowego kłosa nie może przenieść, to miód na urzędnicze serce. Dziś rzeczywiście nomadów, którzy wraz z dobytkiem i inwentarzem przemieszczają się z miejsca na miejsce przez cały rok, już nie ma. Przetrwał jednak półkoczowniczy tryb życia. Rodziny wraz ze stadami przenoszą się w góry na lato. Bywa, że czabani (pasterze) wypasają liczące nawet 300-400 sztuk stada. W wielu przypadkach nie oznacza to wcale, że wszystkie



■ W turkusowej tafli jeziora Ala-kul (3650 m n.p.m.) odbijają się szczyty okalających je czterotysięczników.

■ Wyżej klasyczna jurta. Sowieci kazali budować jurty z betonu, by Kirgizi nie mogli ich przenosić.

zwierzęta należą do jednego czabana. Gospodarze z rodzinnej wsi oddają mu pod opiekę swoje stada, płacąc przy tym niełicho jak na kirgiskie warunki – 1 dolara miesięcznie za barana, 5-6 dolarów za krowę, 7 za konia.

Własne, liczące 200 sztuk stado mają Gulnar i Rusłan, których spotykamy nad Song-kul, wysokogórskim jeziorem, gdzie dotrzeć można tylko latem. W pozostałe miesiące krętą górską drogę szczelnie pokrywa gruba warstwa śniegu. Małżeństwo ma także cztery jurty. W dwóch mieszka pokaźna rodzinka: trzy córki, dzieci siostry i brata. W pozostałych pomieszkują turyści z całego świata, zawsze chętni, by pojeździć konno wzdłuż najpiękniejszego jeziora w Kirgistanie. W jurcie Gulnar i Rusłana, która jest jednocześnie kuchnią, jadalnią i sypialnią, można liczyć na ciepło bijące z piecyka i coś dobrego do zjedzenia. Choć z tym ostatnim różnie bywa. Płat baraniego tłuszczu, którego wyssanie polecił mi sąsiad z jurty, jeszcze długo będę wspominać jako największy koszmar kulinarny tamtego lata. Przysotomnie ugryzłam się jednak w język i nie komentowałam „rarytasu”, mając w pamięci perypetie pewnego Anglika mieszkającego w Kirgistanie. Michael McFeat na swoim profilu na Facebooku zamieścił pewnego razu post: „Kirgizi stoją w kolejce pod drzwiami po ich specjalność – koński penis”, który zilustrował zdjęciem tradycyjnej kirgiskiej kiełbasy czukczuk. A wtedy

rozpętała się burza. Bliższych i dalszych znajomych oraz lokalną społeczność ogarnęło święte oburzenie. Ktoś zaawiadomił organy ścigania. Nie pomogły tłumaczenia i przeprosiny Brytyjczyka. Postawiono mu zarzut szargania godności narodowej, za co grozi 5 lat więzienia. Najpewniej zostanie deportowany i już nigdy nie wjedzie do Kirgistanu.

Lepiej więc nie obrażać narodowych potraw w Kirgistanie, choć prawdę mówiąc, poza nielicznymi wyjątkami nie ma po temu zbyt wielu okazji. Jedzony w całej Azji Centralnej pilaw, czyli ryż z warzywami i jagnięciną, smakuje wybornie. Nie ustępuje mu langman – sycąca i rozgrzewająca zupa z długim makaronem, warzywami i baraniną. W byle mieścinie po południu rozkładane są grille, nad

którymi skwierczą szaszłyki z baraniny w kawałkach lub mielonej (kebab). Na każdym rogu da się kupić manty (pierożki z baraniną i cebulą gotowane na parze) i samsy (pierożki nadziewane mięsem, smażone na głębokim tłuszczu). W mieście Karakol warto skusić się na lokalny przysmak – ashlyanf. To makaron podawany na zimno z dodatkiem podsmażanych na oleju pomidorów z cebulką i jajkiem oraz ostrym i gęstym sosem na bazie octu. A będąc w górach i zaglądając do jurty, zapytać o kumys – alkoholowy, lekko musujący napój wyrabiany ze sfermentowanego mleka kobyły. Jak mówią sami Kirgizi, najlepszy jest ten z okolic przełęczy Tëo-Aszuu, przy autostradzie Biszkek-Osz.

KIRGISTAN

Kiedy jechać Najlepiej między czerwcem a wrześniem. Wtedy można wybrać się w góry i odpocząć nad jeziorem. W przypadku Kirgistanu trudno mówić o sezonie turystycznym, bo turystów ciągle tam jak na lekarstwo. **Wiza** Polacy nie potrzebują wiz na wjazd do Kirgistanu, jeśli pobyt nie przekracza 60 dni. **Jak dotrzeć** Między Polską a Kirgistanem nie ma bezpośrednich połączeń lotniczych. Trzeba więc liczyć się z minimum jedną przesiadką. Dogodne połączenia zapewnia Aeroflot.